

Ciernista droga do wewnętrznego pokoju

Autor: Zofia z Lubska



Jestem kobietą po osiemdziesiątce. Zdecydowałam się na świadectwo mojego życia ze względu na ostatnie cudowne dwa lata.

Od dzieciństwa towarzyszył mi strach: o moje życie, moją rodzinę, moje dzieci, moją wieczność. Rodzice poskramiali impulsywność małej dziewczynki, pokazując palcem na wiszące święte obrazy na ścianach. Mówili: „Zosiu, bądź grzeczna! Bozia patrzy i będzie karać niegrzeczne dzieci!” Myślę, że tę lekcję wzięli od moich dziadków. Bałam się „Bozi”, choć w cerkwi mogłam usłyszeć dobre wiadomości o Panu Jezusie, a szczególnie to, że nie jest srogim, gniewnym i pozwala, aby dzieci do Niego przychodziły. Kiedy pragnęłam mieć lalkę, wołałam: „Panie Jezu, Ty wiesz, że ja tak bardzo chcę tę lalkę” i... otrzymałam taką jak chciałam. Kiedy w domu była bieda i nie było chleba, rodzice narzekali, a ja, wierząc, prosiłam Jezusa o pomoc i... w dziwnych okolicznościach pojawiał się chleb.

Mieszkaliśmy na rubieżach wschodniej Polski. Ojciec był oficerem w carskiej Rosji. Powodziło nam się jako rodzinie wojskowego dobrze do czasu obalenia caratu i wymordowania całej rodziny Romanowów. Ojciec musiał opuścić Polskę i zamieszkać u swojej rodziny w Mińsku. Tam też w 1937 roku został aresztowany przez bolszewików, wywieziony na Sybir i stracony.

W 1940 roku rozpoczęłam naukę w Szkole Medycznej w Mińsku. Paraliżował mnie strach, gdy zajęcia z anatomii praktykowane były na nieboszczykach. Z tego powodu chciałam zaprzestać nauki, ale mama nie dała mi przyzwolenia na rezygnację. Po roku Hitler napadł na Związek Radziecki i z tego powodu zakończyła się moja nauka.

Zaczęły się dni pełne wojennej grozy i biedy. Ludzie gromadzili się w piwnicach i wołali o ratunek do Pana Boga. Mama, krótko po rozpoczęciu wojny, zabrała nas z Mińska i osiedliliśmy się u rodziny w Baranowiczach. Często chodziliśmy na targ po żywność. Na targowisku rzucał się w oczy młody, bardzo obrotny, przystojny chłopak, który zajmował się handlem. Jak się okazało miał swoje mieszkanie również w Warszawie. Poznaliśmy się. Imponowało mnie, biednej dziewczynie, że zaskakiwał mnie różnego rodzaju prezentami. Zaproponował mi wyjazd do Warszawy. Zdecydowałam się i w 1942 roku zalegalizowaliśmy nasz związek.

Jak się okazało, on też był związany z wojskiem. Godzinami opowiadał o swoich autorytetach: Rydzu Śmigłym i Piłsudskim. Działania wojenne się wzmaczały, było coraz więcej łapanek i rozstrzeliwań. W sierpniu 1944 roku wybuchło Powstanie Warszawskie. Zaangażowałam się w pomoc pokrzywdzonym i pracowałam jako sanitariuszka. Kule świstały nad głowami, wokół wybuchały bomby, waliły się budynki, słyszeć było krzyki, lament bezradnych ludzi, płacz dzieci, wszędzie leżały trupy. Warszawa płonęła! Zostaliśmy z mężem złapani i prowadzeni przez SS-manów wśród płonących domów do miejsca, skąd miano nas deportować do obozów. Modliłam się o ochronę. Z lekcji anatomii w szkole medycznej wyniosłam przekonanie, że Pana Boga nie powinno się malować na papierze, płótnie, ani zamknąć w formie odlewu gipsowego czy bryle metalu. Rozumiałam, że Bóg to nie figura, ale Wielka, Niewidzialna Osoba, która posiada Moc.

Zawieziono nas do obozu Gross Rosen. Zostaliśmy z mężem rozdzieleni. Wywieziono mnie do Rzeszy, za Drezno, do Maisen. Zostałam szybko przyuczona do zawodu tkaczki, gdzie pracowałam do końca wojny, tj. do 8 maja 1945 roku. Do Warszawy wyzwolona ludność wracała, czym się dało: rowerami, furmankami, pieszo. W drodze powrotnej zgubiłam wszystkie swoje dokumenty. Zostałam Warszawę zburzoną, spaloną. Płakałam i radowałam się z tego, że już koniec wojny, ludzie byli dla siebie wtedy tacy dobrzy. W cudowny sposób odnaleźliśmy się z mężem. Postanowiliśmy wyjechać do Słupska, gdzie mąż miał rodzinę. Ze swoją smyką do handlu szybko założył sklep z artykułami spożywczymi. Nawiązał kontakt z rolnikami, brał od nich towar, sprzedawał, kupował inny, a rozliczał się z nimi w późniejszym czasie, tak że obracał szybko napływającą gotówką.

W Słupsku urodziły się nasze dzieci: Czesław i Anna. Po pewnym czasie mąż podjął pracę w urzędzie skarbowym. Powodziło nam się bardzo dobrze aż do roku 1950. Wówczas zaczęły się prześladowania prowadzone przez UB: niezapowiedziane rewizje, przesłuchania. Mąż został aresztowany. Wśród znajomych zapanował strach, bano się kontaktów ze mną. Przez trzy miesiące otrzymywałam jeszcze pieniądze z urzędu skarbowego, a później zostałam z dziećmi bez środków do życia. Po pewnym czasie zjawił się tajniak, proponując mi, abym wszystko sprzedała, a wtedy dołączę do męża, abyśmy mogli być razem. Zrozumiałam, że zaczął się niebezpieczny okres dla mnie i moich dzieci. Zaczęłam się ukrywać.

Dowiedziałam się, że jestem poszukiwana. Poszłam do garnizonowego kościoła św. św. Piotra i Pawła w Słupsku, prosząc księdza o modlitwę do Boga za mną i moją rodziną. Powiedział, że to uczyni, a że nie posiadałam dowodu tożsamości, wypisał mi metrykę urodzenia, gdzie widniało moje panińskie nazwisko. Wracając ostrożnie w kierunku domu, zobaczyłam gromadkę bawiących się dzieci. Odłączyła się od nich dziewczynka, która miała może 6 lat, a której wcześniej nigdy nie widziałam. Z jej ust usłyszałam ostrzeżenie: „Niech pani nie idzie do domu, bo czekają na panią ci z UB”. Poszłam z dziećmi nad rzekę, one beztrudno się bawiły, a ja wołałam: „Boże, pomóż – kieruj moimi krokami!” Pod wieczór wsiadłam w tramwaj i pojechałam z dziećmi na drugi koniec Słupska do znajomych. Początkowo byli nieprzychylni, mając uzasadnione obawy, ale przenocowaliśmy u nich.

Postanowiłam, że pojadę do Częstochowy. Byłam zmęczona i chciałam ulokować dzieci w bezpiecznym miejscu. Znajomy pracował na kolei, pojechał i kupił mi bilet, abym nie musiała przeżywać dodatkowego stresu. Jadąc tramwajem w kierunku dworca, mijałam swoją ulicę. Pomyślałam, że może to już ostatni raz spojrzę na znajome budynki, ale wyglądając przez okno, zobaczyłam człowieka z UB, siedł z żoną pod rękę. Niestety, on też mnie zauważył.

Dojechałam do dworca, z dziećmi zajęliśmy miejsca w wagonie. Jednak pociąg nie odjechał o wyznaczonej godzinie. Wtedy kierownik pociągu otworzył okno i zapytał dyżurnego ruchu, co się dzieje. Ten odparł: „Szukają kobiety z dwójką dzieci!” Kierownik odpowiedział: „Tu, w następnym przedziale, jest taka pani z dziećmi”. Słyszając to, przeraziłam się, pomyślałam, że to już koniec. W desperacji zaczęłam wołać: „Jezu, Boże, pomóż mnie i dzieciom!” Nastąpiła jakaś dziwna cisza. I zanim ochłonęłam, zorientowałam się, że pociąg rusza. Gdy spojrzałam w okno, zobaczyłam uciekające drzewa i budynki. Po chwili wszedł konduktor, sprawdził bilet mnie i kobiecie, która siedziała obok. Wiem, że Bóg mnie cudownie osłonił przed wrogami. Tak dojechałam do Gdańska. Usiadłam z dziećmi na skwerku, one bawiły się, a ja rozważałam zdarzenie z małą dziewczynką,

która mnie ostrzegła i to, co zaszło w pociągu. Coraz bardziej dostrzegałam dowody działania Boga, którego nie pojmowałam. Kupiłam bilet do Częstochowy. Wsiadłam do następnego pociągu i już bez przeszkód dotarłam do celu. Dorożkarz zawiózł mnie do znajomej kobiety.

Nosiłam się z zamiarem oddania dzieci do sierocińca, ponieważ byłam wyczerpana i bez środków do życia, ale znajomi ostrzegali mnie, że oddając je do państwowego domu dziecka, mogę ich już nigdy nie zobaczyć. Udałam się do kolejnych znajomych, do Pruszkowa, a oni udzielili mi schronienia na kilka tygodni. Zdecydowałam, że powrócę do Słupska, są tam przecież moja mama i brat. Wróciłam, zatrzymałam się u kolejnych znajomych. Do mamy bałam się iść za względu na to, że już wcześniej jej mieszkanie było pod obserwacją. Znajoma wieczorem podrzuciła małą Anię mamie, a ja dalej się ukrywałam. Po pewnym czasie postanowiłam odwiedzić mamę i zobaczyć córeczkę. U niej spotkałam koleżankę, której ojciec był lekarzem w Lubsku. Zaproponowała pomoc.

Brat kupił mi bilet do Lubsku, ostrzegając, że na dworcu był pytany o miejsce mojego pobytu. Zaraz na stacji podszedł do mnie sokista. Nie posiadałam dowodu osobistego, groziło to zatrzymaniem w celu wyjaśnienia i w tym właśnie momencie przypomniałam sobie, że mam metrykę, którą wypisał mi ksiądz. Widniało na niej moje panińskie nazwisko. Podałam mu – sprawdził i powiedział, że nie o to nazwisko mu chodzi. I tak rozpoczęłam pracę w szpitalu na oddziale dziecięcym w Lubsku. Zdałam egzamin na pielęgniarkę dyplomowaną, nareszcie byłam na swoim.

Po pewnym czasie przeniesiono mnie do Bytnicy koło Krosna Odrzańskiego, do ośrodka na wsi. Tam po niedługim czasie wyszłam za poznanego wdowca, leśniczego, z którym miałam dobre życie. Zmarł przed 20 laty. Po jego śmierci wróciłam do Lubsku. Syn założył własną rodzinę i mieszka we Wrocławiu, jest wojskowym. Wiele razy próbował szukać ojca, niestety, bez rezultatów.

W Lubsku zaczęły mnie odwiedzać koleżanki z pracy, należące do Świadków Jehowy, które pomogły mi kupić Biblię Tysiąclecia, o której od dawna marzyłam. Nie byłam nigdy zainteresowana strukturą tej organizacji, ale przede wszystkim poznaniem samego Pana Boga, który jest ponad prawami natury. Wołałam: „Gdzie jesteś? Daj mi się poznać, przecież wiem, że przeszłam tyle niebezpieczeństw, aby teraz żyć w pokoju dzięki Tobie”.

U kresu dni znalazłam największe szczęście, tj. żywą, pełną wiary społeczność z moim Zbawicielem Jezusem Chrystusem. Wiele zachęty otrzymałam przez proste świadectwa ludzi, którzy szczerze służą Bogu, głosząc ewangelię ludziom zniewolonym i zagubionym.

Moim najgłębszym pragnieniem jest dochować wierności Temu, który przez całe moje życie dawał mi dowody, że mnie ochrania i prowadzi do wiecznego domu w Niebie. Biblia czyli Jego odwieczne Słowo, jest pewnym fundamentem mojej wiary. Mój syn również nabył Pismo Święte. Jest pozytywnie nastawiony do tego, że spotykam się i słucham Słowa Bożego w kręgu dzieci Bożych w społeczności zielonoświątkowej.

Pan podtrzyma wszystkich upadających i podnosi wszystkich zgwałconych. Spełnia życzenie tych, którzy się go boją, a wołanie ich słyszy i wybawia ich.

Gdy zostawiamy swoje problemy w rękach Boga, On zsyła do naszych serc swój pokój